

Jan Przybyła.

# Walka o Górny Śląsk

## Od powstania do plebiscytu

---

Szkice i obrazki

Twardemu ludowi śląskiemu  
w miłości synowskiej składam.



1920.

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.

## O lud polski i skarby polskie.

(Przemówienie na wiecu śląskim we Lwowie, na dziedzińcu ratuszowym dnia 25 sierpnia 1919, urządzonym przez Komitet Obrony Narodowej w celu zorganizowania pomocy dla powstańców i uchodźców górnośląskich).

Istnieje na Górnym Śląsku legenda, iż gdy Polska zmartwychwstała, obudzą się w górach śląskich śpiący rycerze królowej Jadwigi i połączą Śląsk z Polską. Legenda ta staje się dziś rzeczywistością — powstał rycerz pracy, wyszli z podziemi śląskich, z kopalń węglowych polscy górnicy a z hut i fabryk polscy robotnicy — i chwycili za broń, bo już dłużej znieść nie mogli rozwydrzonej buty pruskiej. Obiecywano, że zapowiedziana komisja koalicyjna, która miała objąć rządy na Górnym Śląsku i sprawować je aż do wyniku plebiscytu, przyjedzie w połowie sierpnia. Termin ten minął, a przyjazd komisji stał się wątpliwy, gdyż ani Ameryka, ani Francja nie podpisały dotąd traktatu pokojowego a potem nastąpić ma ostateczna ratyfikacja, po której dopiero w 14 dni Koalicja ma zająć Górny Śląsk.

Niemcy takim stanem rzeczy zachęcani zostali do większych szykan i okrucieństw względem Polaków. Miara cierpliwości się przebrała, położenie

było rozpaczliwe, w podnieceniu i wzburzeniu zdecydowano się na ostateczność krwawej rozprawy. Do tego też Prusacy dążyli, ażeby mieć możliwość wymordowania i wywiezienia co światlejszych i gorętszych przywódców polskich.

Powstanie się niestety nie udało, bo pomoc zbrojna Polski, której się powstańcy spodziewali, nie mogła być dostarczona z powodów dyplomatycznych. Z tego sobie Niemcy także dobrze zdawali sprawę i wszelkimi sposobami prowokowali do wybuchu zbrojnego, a najbardziej „czerwony hakatysta“ Hörsing, obecny wielkorządca i kat Górnego Śląska.

Wina za przelaną krew na Górnym Śląsku spada w pierwszym rzędzie na Prusaków, ale bardzo wiele zawiniła też koalicja, która jako najwyższa władza polityczna dziś na świecie, nie nakazała Niemcom zaprzestania szykan i prowokacji, o których była poinformowana przez delegatów górnośląskich. Trzeba było dopiero nowego krwi rozlewu, by na krzyk rozpacz ludności śląskiej i protestu Rządu Polskiego posłano tam... jeszcze jedną misję — węglową (!), która ma zaprowadzić porządek!

Ot i sedno rzeczy — Koalicja zajmuje się Górnym Śląskiem tylko o tyle, o ile chodzi o węgiel, ale straszny los ludu śląskiego mało, jak dotąd, ją obchodzi. Komisja węglowa wyjechała tam po to, by nakłonić górników śląskich do dalszej pracy, ażeby nie ucierpiała produkcja węgla i eksport tegoż na żądanie Anglii na Zachód jako zadatek niemieckich odszkodowań wojennych. — — —

Robotnik polski zaś na Górnym Śląsku pragnie pracować dla Polski a nie na spłatę długów

państwa niemieckiego i bogacenie się kapitalistów pruskich. Na zdobytych przez się w czasie walk powstańczych kopalniach zatknęli górnicy polską chorągiew narodową — na znak, że Polsce je chcą oddać i dla Polski węgiel z nich wydobywać. Jeśli Koalicja chce mieć węgiel śląski, to musi wziąć naprzód w skuteczną obronę robotników polskich przed zbirami pruskimi.

\*

\*

\*

A ten węgiel górnos Śląski, powszechnie w Polsce jako „pruski“ znany, to wielki, nieoceniony skarb polski. Stanowi on najlepszą i największą część pokładów całego polskiego zagłębia węglowego, do którego należą pokłady Zagłębia Dąbrowskiego, Krakowskiego, Górnos Śląskiego i Karwińskiego na Śląsku Cieszyńskim. Z pokładów węgla Zagłębia polskiego przypada na Górny Śląsk około 61%, na Zagłębie karwińskie i krakowskie 34%, na dąbrowskie 5%.

Węgiel górnos Śląski jest najlepszy z węgla polskiego, bo jako w środku Zagłębia położony, posiada najwięcej miazgu węglowego; pokłady górnos Śląskie dochodzą do 18 metrów grubości, „kresowe“ zaś pokłady krakowskie i dąbrowskie najwyżej do 6 metrów. Produkcja kopalń górnos Śląskich jest też najintensywniejszą. W roku 1913 wyprodukowało:

Zagłębie górnos Śląskie	około 44 miliony ton	— 71%
„ karwińskie	„ 9 „ „	— 15%
„ dąbrowskie	„ 7 „ „	— 11%
„ krakowskie	„ 2 „ „	— 3%
razem 62 mil. ton.		— 100%

Przy zdwojonej nawet produkcji w stosunku do powyższych cyfr, wystarczy Polsce z jej pokładów do 1000 metrów głębokości węgla na przeszło 1000 lat.

Wiercenia głębokie na Górnym Śląsku stwierdziły jednak obecność węgla poniżej 1000 metrów. Mianowicie pod Paruszcowcem koło Rybnika skonstatowano w głębokości od 210—1180 metrów — 70 pokładów węglowych, z tego 26 było ponad 1 metr grubych, a więc do eksploatacji zdolnych i mierzą one razem 63 metry węgla. Najgłębszy zaś szyb wiertniczy na Górnym Śląsku pod Czuchohem w tym samym powiecie rybnickim, który wywiercono do 2240 metrów głębokości, przecina od 115 metrów głębokości aż 163 pokłady węglowe. Fachowcy obliczają zatem zapas węgla pokładów górnośląskich, uwzględniając tylko złoża od 30 centymetrów grubości w zwyż — na 166 miliardów ton. 68% tego zapasu, czyli 113 miliardów ton nadaje się do eksploatacji. Na pierwszy stopień głębokości, to jest do 1000 metrów, przypada około 60 miliardów ton. Ale jak już wyżej wspomniano, węgiel sięga o wiele głębiej, — i dziś już w niektórych kopalniach wydobywają węgiel z drugiego stopnia głębokości, tj. od 1000—1500 metrów. Przy postępie zaś techniki, który ułatwi człowiekowi opanowanie silnych gazów i innych trudności, możliwą będzie eksploatacja głębsza, a temsamem produkcja węgla się powiększy i zasobów jego wystarczy dłużej niż na 1000 lat.

Jeśli zaś zważymy, iż, jak twierdzą fachowcy, Anglii, tej „królowej przemysłu“ wystarczy własnego jej węgla (z terytorjum europejskiego) już tylko na 200 lat, zrozumiemy angielską politykę



odnośnie do Górnego Śląska, który, jak jej właśnie ekonomiści przewidują, stanie się z czasem osią życia gospodarczego Europy. A Anglja, jak wiadomo, układa swój program polityczny zawsze co najmniej na jakie 100 lat naprzód!

Kapitałiści górnośląscy, skłonni są odstąpić część akcji i kopalń Anglikom i Amerykanom, ażeby przez to uniemożliwić opanowanie ich przez kapitał polski. Ale ta szacherka się nie uda, bo lud polski, który stanowi olbrzymią większość tego kraju, pragnie być gospodarzem na tej i w tej ziemi — i nie spocznie przedzej, aż to osiągnie i połączy tę bogatą krainę z Macierzą.

A jest to kraj naprawdę bardzo bogaty, bo prócz węgla, który w znacznej mierze jest i koksujący, a więc do przemysłu żelaznego bardzo zdatny, posiada Górny Śląsk w swej ziemi jeszcze inne wielkie bogactwa mineralne i rozwinięty ich przemysł.

Przemysł węglowy przedstawiał się w cyfrach w roku 1913 następująco: 63 kopalnie, 123 350 robotników (w roku 1918 już 147 550) produkcja 44 miliony ton, wartość 393 664 928 mk., w roku 1917 wynosiła wartość produkcji 450 milionów mk. — Dalej obejmuje ten przemysł 17 koksowni i fabryk brykietów, robotników 8 600, produkcja 2 miliony 432 tysiące ton, prócz tego przeszło 214 tysięcy ton pożytecznych wytworów pobocznych jak ter, olej terowy i benzol — wartość wynosiła w roku 1913 — 52 miliony 203 tysiące 442 marek, w roku 1917 — 109 599 235 marek.

Przemysł żelazny. Pokłady brunatnej rudy żelaznej z formacji triasowej, którą obecnie wydobywają, a która znajduje się w warstwach 3—5

metrów grubych, albo w wapieniu muszlowym, obliczają jeszcze na 16 miliardów ton. Istnieją jednak nadto pokłady z innych okresów geologicznych.

Przemysł żelazny przedstawiał się w r. 1913 następująco: 10 kopalń rudy, 9 hut (wysokie piece), 24 odlewnie stali i żelaza, wielka ilość zakładów obróbki, robotników 47 800, produkcja 5 593 793 ton, wartość 337 501 247 mk. W r. 1917 wzrosła ta wartość na 607 658 653 marek.

**Przemysł cynkowy.** Kruszcze cynkowe i ołowiu znajdują się na ogół w dwóch płytkich warstwach w głębokości od 51 do 100 metrów, zapas ich obliczają jeszcze na 100 lat. W roku 1913 przemysł ten w cyfrach wygląda jak następuje: 22 kopalnie cynku i ołowiu, 16 hut cynkowych, 8 walcowni cynkowych, 2 huty srebrno-ołowiane, 24 tysięcy robotników, produkcja 3 044 287 ton, nadto 8000 kg. srebra, wartość 155 357 661 mk., w roku 1917 wzrosła ona na 207 008 247 marek.

Najważniejsze więc gałęzie przemysłu górnośląskiego tj. węglowy, żelazny i cynkowy zatrudniały w roku 1913 — 202 450 robotników, produkcja tych zakładów wynosiła 55 284 080 ton a wartość jej 938 727 278 mk., ilość kopalń, hut, fabryk około 300.

Na tem jednak nie koniec mineralnych bogactw Górnego Śląska. Składają się na nie także bardzo bogate pokłady wapienia o grubości aż do 75 metrów. Najważniejsze są wapienie gliniaste koło Opola, które są podstawą rozwiniętego tam przemysłu cementowego. 30 wapiarni górnośląskich wyprodukowało w roku 1919 prawie 20 000 ton wapna, wytwórczość zaś 10 cementowni wy-

nosiła 25 500 ton cementu. Robotników zatrudniały te zakłady około 12 tysięcy.

Prócz tego posiada Górny Śląsk jeszcze pokłady węgla brunatnego torfu, siarki, soli kamiennej, solanek, gliny, gipsu, piaskowca, bazaltu i wielu innych.

12 fabryk papieru, zatrudniających 2 500 robotników, wytworzyło w roku 1913 około 1 milion ton papieru. Nadto posiada Górny Śląsk wiele zakładów chemicznych, cegielni, fabryk szamotu, porcelany, szkła i przedzalni. Ogółem zajętych jest w przemyśle górnośląskim obecnie około  $1\frac{1}{4}$  miliona robotników, z tego prawie 90% stanowią robotnicy polscy, którzy swym trudem i potem, a nieraz i życiem przysparzają Niemcom milionów. Otóż ci polscy robotnicy pragną pracować dalej dla Polski a nie dla swych narodowych wrogów, pragną połączyć Górny Śląsk z Polską i jako wiano tej dzielnicy oddać Macierzy bogate jej skarby i swą pracę.

Jeśli zaś Niemcy twierdzą, że dopiero pod rządami pruskimi powstał i rozwinął się przemysł górnośląski, to odpowiedzią na to niech będzie stwierdzenie faktu, że już w 12 wieku, a więc za rządów polskich, górnicy polscy kopali na Śląsku koło Bytomia kruszce srebra i ołowiu. Historia miasta Bytomia jest też ściśle z tym przemysłem związana, miasto ma w herbie orła Piastowego i górnika, kopiącego kruszec. Już wtedy miasto to otrzymało od rządu polskiego specjalne przywileje, ażeby je zachęcić do wzmożenia produkcji cennych skarbów. I gdyby Śląsk był należał do Polski, niewątpliwie polscy inżynierowie i polskie kapitały byłyby się przyczyniły do rozwoju prze-



mysłu śląskiego. Wiadomo zaś, że Kazimierz Wielki pod przymusem, bo z powodu napadu na Polskę wrogów z wszystkich stron i wskutek intryg niektórych książąt śląskich, zrzec się musiał w roku 1335 układem trenczyńskim Śląska na rzecz Czech, z pod których dostał się następnie w roku 1526 pod rządy austriackie a od 1742 r. pod rządy pruskie.

\*                      \*

Niezbitym dowodem, że Górny Śląsk jest krajem polskim, jest jego ludność polska, która mimo ucisku i niewoli 600-letniej w ilości przeszło 75-procentowej przyznaje się do polskości. Na ogólną ilość ludności 2-miljonowej na Górnym Śląsku,  $1\frac{1}{2}$  miliona jest Polaków. W niektórych zaś okęgach dochodzi ona nawet do 92%.

Stosunek posiadania ziemi jest zaś dla Polaków bardzo niesprawiedliwy, bo tylko  $\frac{1}{3}$  część należy do Polaków, a  $\frac{2}{3}$  do Niemców, z czego  $\frac{1}{3}$  do siedmiu magnatów pruskich. Na podobnej przestrzeni około 200 000 hektarowej, jaką ci magnaci z olbrzymimi obszarami leśnymi posiadają, gniecie się około 123 tysiące polskich rodzin chłopskich — chałupników, posiadających przeciętnie od  $\frac{1}{2}$  do 1 hektara ziemi.

Ten niesprawiedliwy stan rzeczy, pochodzący z przemocy wojennej i zaborczej, będzie musiał w Polsce być zmieniony. Z tego sobie wielcy magnaci śląscy zdają sprawę, to też łożą miliony na to, by Śląsk uratować dla Niemiec a choćby utworzyć z niego „niezależne państwo górnośląskie“.

Jest to kraj niewątpliwie polski i w myśl punktów Wilsona powinien był przypaść Polsce bez plebiscytu, według pierwotnego statutu Traktatu Wersalskiego. Niemcy zaś zaczęli przedstawiać Koalicji, że bez przemysłu górnośląskiego nie będą mogli wywiązać się z swych długów wojennych i tem przejednali Anglików. Nie możliwem jednak było wykreślić Śląska zupełnie z Traktatu, postanowiono więc rozstrzygnąć jego przynależność plebiscytem.

Lud śląski opowie się w swej większości na pewno za Polską — od naczelnej władzy dziś na świecie, od Najwyższej Rady Koalicji, żąda tylko sprawiedliwości i ochrony przed siepaczami pruskimi. Jeśli zaś przekona się, że i obecnie, po rozpaczliwym wybuchu krwawym, Ententa nie wystąpi stanowczo przeciwko przemocy niemieckiej, będzie musiał wziąć się ponownie do walki zbrojnej, a wtedy tak Rząd Polski, jak i społeczeństwo całe powinno te usiłowania wesprzeć czynnie, bo widocznie, jak to dowodzi przykład obrony Lwowa, Koalicja liczy się tylko z faktami dokonanymi. Polska musi ratować lud polski i skarby polskie na Śląsku, powinna przyjść z wydatną pomocą powstańcom i uchodźcom górnośląskim, którzy przed przemocą i barbarzyństwami pruskimi zmuszeni byli schronić się do Polski. Cześć i hołd bohaterom górnośląskim!

Lwów, dnia 25 sierpnia 1919.

## Do synków.

Obóz powstańców górnośląskich w Oświęcimiu. Prawie co dnia przekradają się do nich przez granicę matki, żony, dzieci z tamtej strony granicy.

Wśród kobiet zwraca mą uwagę Ślązaczka zapłakana, skromna, bojaźliwie się oglądająca.

— Cóż to, matko, tacy smutni jesteście? — zagaduję ją.

— A dyć synków moich szukam, a znaleźć ich nie mogą.

— A skądżeście to?

— Z rybnickiego krysu.

— Jakżeście się tu dostali, koleją?

— Kataćtam, na piechty ech przyszła.

— A jakże przez granicę?

— A dyć wiem, te grenszucy to takie mrzyglody, że jeno patrzom, by im coś dać. Pięć marek chce, jak się idzie do Polski, a jak z Polski to „Brot und Wurst!“ Takie to już nasienie szwabskie, a szwandroczne to, że ich nie można zrozumieć. Jakieś to Bajery i Marinery.

— A synowie do powstania poszli?

— Nó! Poszli najpiersi, zeprali Niemców, potem się dość długo bronili, ale tamtych było coraz więcej a naszym pomocy nie dano. W końcu musieli się cofnąć. Och Boże, cośmy tam potem za to wycierpieć musieli! Ale poręczono Męcę Pańskiej! Dzięki Bogu, że Oni uszli, boby ich byli zakatrupili, jak tych, co chycili. Padali mi ludzie, że ta kompanijo cofła się do Piotrowic, a stamtąd mieli ich tu do Oświęcimia przenieść,

— Witom wos, mamulko! — odezwał się nagle głos za nami i zanim się oglądnąłem, już matka i syn byli w objęciach i serdecznie się całowali.

— Och, mój ty drogi Francku! Jak ci się tu powodzi? A kaj Manus?

Franek stanął jak wryty. Był na to przygotowany, a jednak jak piorun uderzyło w niego to pytanie. Nie mógł słowa wyrzec, zbladł jak ściana.

— Kaj jest Manus? — krzyknęła matka, widząc te nagłą zmianę. No godejże, co się z Manusiem dzieje?

— Manus, mamulko, — — nie — — żyje!

— Jezus Maryjo! Coś ty pedzioł? Co się z nim stało?

— Trafiła go kula pod Piotrowicami. Razem tam walczyliśmy i byłbym wołał, by mnie była trafiła, bo nie musiałbym wam mówić o śmierci waszego ukochanego syna a mojego najdroższego brata.

Matka wybuchnęła przejmującym płaczem, zatając ręce i lamentując głośno. Zeszła się grupka powstańców i uchodźców, wszyscy współczują z nią serdecznie, lży widać w każdym oku.

— Uspokóicie się, mamulko — tuli matkę syn — uspokóicie się! Taka już widać Boża wola, by i nasza górnośląska krew polala się za Ojczyznę. Pamiętajcie, mamulko, że to za Polskę Manus życie oddał! A powiadał nasz ksiądz kapelan, że taką ofiarę inaczej Bóg liczy, że ona nie idzie na marne i owoc swój wyda.

— Za Polsko, padosz synku, za Polsko? Dobrze godosz! Wiem i jo, że to za polsko sprawo,

aby i naszo ziemio była połączono z Polską, a jednak jakoś to ciężko matczynemu sercu pogodzić się z myślom, że już nie ujrzy swego syna. A jak myślisz, Francku, będzie u nos ta Polsko?

— Będzie, mamulko, zapewniam was, że będzie! Na krew Manusia przysięgom wam, że będzie na Śląsku Polsko!

— To dobrze. To mi już lżej... — Potem zwróciła błagalny wzrok ku niebu, podniosła ręce i modliła się:

— Panie Jezusie, któryś oddał życie Swoje za nasze zbawienie, przyjm tę ofiarę krwawą mego syna, aby nasz kochany Śląsk połączony został z Polską na wieki! Amen.

Oświęcim, we wrześniu 1919.

### „Dreikaiserecke“.

Wybrałem się z Sosnowca spacerem nad brzegiem Brynicy przez Modrzejów i Niwkę ku Jezorowi, gdzie łączą się wody Białej i Czarnej Przemyśły z Brynicą i tworzą granicę byłych cesarstw, które rozdrapały Polskę. „Dreikaiserecke“ nazywali Niemcy ten kąt, który już dzisiaj stanowi tylko granicę dwóch republik: polskiej i niemieckiej. Trzech kaizerów: diabli wzięli, a da Bóg, złączy się i trzeci, śląski brzeg z tamtymi dwoma, a wtedy na pamiątkę połączenia ziem polskich, kąt ten powinien otrzymać nazwę Zjednoczenie! W miejsce „Bismarkturu“, który sterczy butnie po stronie śląskiej i powiewa niemiecką chorągwią, powinien stanąć polski pomnik Zjednoczenia i Wolności Polski. Niewątpliwie lud śląski, który do-



Kona przez plebiscyt tego ostatecznego zjednoczenia, zapoczątkuje ten pomnik.

Kąt ten ma dla Śląska doniosłe wspomnienia. Ślązacy, nie mogąc na ziemi własnej urządzać zlotów sokolich i innych zjazdów narodowych, organizowali je po stronie galicyjskiej, koło lasku jęzorskiego. Niezapomniane to chwile dla uczestników tych zjazdów. Z kolei w Mysłowicach maszerowaliśmy spokojnie, aż do Przemszy, nad którą stała sfera żandarmów pruskich i przyglądała się pilnie każdemu, kto przechodził na tutejszą stronę. Ale jak tylko most przeszliśmy, huknęliśmy z drugiego brzegu „zakazaną“ pieśnią, co „Grenczuców“ do wściekłości doprowadzało. Tam na Jezorze odetchnął Ślązak polskiem powietrzem, nabrał polskiego ducha i wracał do ciężkiego, codziennego znoju na Górnym Śląsku. Chyba żaden naród nie przechodził w dziejach takich szykan i takich sposobów radzenia sobie.

Prócz tych zjazdowych zdarzeń mam z tego miejsca ciekawe osobiste wspomnienia z przed 15-tu laty. Tu właśnie przemyślałem na Śląsk polskie „zakazane“ książki, a pomagał mi w tem dziśniejszy polski minister poczt p. Hubert Linde, który wówczas był naczelnikiem poczty w Szczakowie, a jako dzielny prezes tamtejszego Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej, pamiętał i o śląskich duchowych potrzebach. Pewnego razu omałóśmy nie wpadli w łapy pruskich „Zielonków“; uratowała nas tylko nagła, głośna rozmowa po niemiec-

ku między sobą, a każdy z nas dźwigał włedy na sobie pod peleryną duchowe „Tarcze“, polskie patriotyczne książki do modlitwy.

Dzielnym towarzyszem naszym w tej „akcji“ był ówczesny akademik krakowski, a dzisiejszy inspektor szkolny na Chełmszczyźnie prof. Zygmunt Podgórski, który przez wakacje mieszkał u rodziców w Szczakowie i troszczył się o Śląsk, za co przesiedział w kozie pruskiej wraz z ś. p. prof. Stanisławem Witkowskim, których aresztowano na pewnym zebraniu w Zabrze. Wypuszczono ich po podpisaniu deklaracji, iż „już nigdy do Niemiec nie przyjdą“. Naturalnie do Niemiec nie mieli po co jechać, ale na polskim Śląsku byli jeszcze nieraz.

Stąd niedaleko, bo na dworcu myśłowickim miałem w roku 1905 czy 1906 zabawne zdarzenie. Jadąc z Krakowa na wakacje do domu na Śląsk, wiozłem ze sobą pełną walizkę książek swoich i zakupionych dla znajomych. Kiedym otworzył kuferek na komorze celnej w Myśłowicach, spostrzegłem z przerażeniem, iż na wierzchu leżą „Dzieje Narodu Polskiego“ Wł. Grabińskiego (Smoleńskiego), które krótko przedtem prokurator gliwicki był skonfiskował na podstawie opinii słynnego komisarza do spraw polskich, Mädlera, który uznał tę książkę za „staatsgefährlich“.

— O, tom wpadł — myślę sobie — już po książce i kto wie, czy mnie jeszcze nie przymkną?

Alieci gorliwy celnik nie uważał na górną warstwę, tylko wsunął łapę na sam dół walizy i wyciągnął stamtąd dwa grube tomy „Ojczenasz“ Cieszkowskiego, wydane, jak wiadomo, w Poznaniu.

— Was ist das? — pyta tryumfująco.

— Niech pan przeczyta — odpowiadam po polsku.

— Dla kogo pan to wiezie?

— Dla siebie.

Ogląda skrupulatnie książki, udaje, że umie czytać po polsku, i patrzy na mnie podejrzliwie. W końcu zwraca się do starszego kolegi, który znał język polski.

— Co znaczy ten tytuł?

— Vater Unser — odpowiada starszy.

— Verdammt, so ne grosses Vaterunser! — ist sicher ein polnischer Schwindel dabei! — zawyrokował młody.

— Niech mu pan wytłómaczy — zwracam się do starszego — że dzieło wydane jest w Poznaniu, że chyba tam niemożliwym byłby szwindel.

Stary mu to objaśnia, ale sam nie dowierza, wertuje kartki, czyta różne ustępy, oczywiście sensu pojąć nie może.

— Ec, także se pan wybrał lekturę, przeczytałby pan sobie „einen lustigen Roman, oder so was!“ — radził mi po „ojcowsku“.

— Zbyteczne — odpowiadam ze śmiechem, którego powstrzymać nie mogłem — bo „so was“ zastąpi mi choćby zbyt ciekawy pruski celnik, który sobie rady dać nie może z polską książką...

Puścili mnie całego, „Grabieński“ zanurzył się dyskretnie w głąb walizy, a „Cieszkowski“ pobłażliwie się uśmiechnął i z politowaniem spojrzał na tych, w których języku pisał swoje „Pogomena“.

Z za rzeki, z polskiej strony, spoglądam na Śląską, na której niedawno toczyły się tu krwawe boje powstańców z prusakami. Jak „na dłoni“ leżą przedemną na wzgórku Mysłowice, o które walczone zacięcie, na prawo sterczy szymbark „Nikisz“, z którego, po zdobyciu go przez powstańców, powiewała przez kilka dni chorągiew polska. Dziś tam „spokojnie...“, kominy kopalniane i hutnicze dymią „całą parą“, wrę robotą, po stronie polskiej kurzy się tylko z kominów kopalnianych, fabryczne „milczą“, bo Niemcy w czasie okupacji powożili maszyny, poodkręcali miedziane części od kotłów i aparatów, by zniszczyć polski przemysł.

Powstanie się nie udało, ale zrobiło i tak wiele dla sprawy polskiej na Górnym Śląsku. Polała się poraż pierwszy śląski krew za Polskę, a taki krwawy siew wydaje plon żywy na całe pokolenia.

Patrząc na krainę Śląską i przechodząc w myśli jej dzieje 600-letniej niewoli, potem pierwsze brzeskie odrodzenia w roku 1848, potem „Kulturkampf“ po wojnie prusko-francuskiej roku 1870—71, następnie pierwsze polskie wybory w roku 1903, potem procesy polityczne i więzienia za „tajne związki“, wreszcie krwawe powstanie.

— Czołem! — budzi mnie z tej zadumy nagle jakiś głos męski.

Oglądam się, stoi przedemną robotnik Śląski, jakby naraz z ziemi wyrósł.

— Czołem, bracie!... — gdzieżeście siedzieli, żem was nie widział?

— A no, siedzieliśmy tak, by mnie nie było widać, o, tam, w tej przykopie. Co tam w Sosnowcu słychać?

— Skądże mnie druh zna?

— Swoich się przecież zno, nie? Ale radził-bych panu tak daleko na przodek nie wychodzić. bo tam za krzakami, po drugiej stronie, leży dwóch grenszuców i dobrze się panu przypatrują. Strzeli se taki buks na wiwat, zabije albo zrani — i co mu pón zrobi? Najwyżej „misionorz“ znowu się tu pokręci, nabełkoce po angielsku i tyle! Psia-krew, z taką robotą! — i splunął.

Spojrzałem lepiej w wskazanym mi kierunku. Rzeczywiście za krzakami wikliny wierzbowej nad brzegiem leżało dwóch drabów w mundurach pruskich z wytrzeszczonemi na nas ślepiami.

— Pierony przekłete! — zaklął powstaniec i pogroził im pięścią — my się z wami jeszcze porachujemy...

Sosnowiec, w październiku 1919 r.

## **W przełomowej chwili.**

(Na powitanie wkraczających na Górny Śląsk  
wojsk koalicyjnych).

W myśl Traktatu Pokojowego wojska niemieckie w dniu dzisiejszym (30 stycznia 1920) rozpoczęły opuszczanie Górnego Śląska, a wkraczają tu wojska Koalicji, ażeby pilnować ładu i porządku aż do oddania tego kraju temu Państwu, za którem oświadczy się większość dorosłej ludności Górnego Śląska. Mają one uważać i przestrzegać tego, ażeby postanowiony dla ziemi naszej plebiscyt odbył się spokojnie i należycie jako wyraz świadomej woli obywateli tego kraju, a nie pod przymusem i gwałtem, bez czego by się napewno nie obyło, gdyby głosowanie przeprowadzone być



miało pod rządami pruskimi przy pomocy „Grenczucu“, „Reichswehry“ i policji pruskiej.

W tem właśnie leży cała doniosłość objęcia rządów tymczasowych na Górnym Śląsku przez Koalicję. Przychodzą tu jej wojska po to, ażeby Sprawiedliwości stało się zadość!

W tej myśli też wita Naród Polski na Górnym Śląsku wojska Ententy jako swych oswobodzicieli z wiekowej niewoli niemieckiej. Wita je radośnie i z całą ufnością! Odchodzące zaś wojska i rządy niemieckie żegna z uczuciem prawdziwej ulgi, gdyż wie i nie zapomni, czem one były dla niego. Dziękuje Bogu, że się pozbywa nareszcie tych tyranów! Postara się lud nasz o to, ażeby tu Prusacy już nie wrócili i ażeby tu zakwitła wolność, dobrobyt i szacunek wzajemny ludzi na pożytek obywateli tego kraju i całej Polski!

Skoro nie utrzymały się na Konferencji Pokojowej w Paryżu jej warunki pokojowe z dnia 7 maja 1919 r., mocą których Górny Śląsk jako kraj „niewątpliwie polski“ bo większość jego ludności, 75% stanowią Polacy — i Traktatem z dnia 28 czerwca 1919 r. ratyfikowanym dnia 10 stycznia 1920, postanowiono przeprowadzić u nas plebiscyt, dowie się świat cały o polskiej woli ludu górnośląskiego.

Zaczyna się dla Górnego Śląska nowa, wielka chwila dziejowa. Po 600 latach rozłąki z Polską zaczynają się konkretne kroki powrotu jego do Macierzy. Mimowoli nasuwa się na myśl zestawienie dwu dla Śląska ważnych dat historycznych. Z jednej strony Akt króla Kazimierza Wielkiego, z roku 1335, mocą którego wskutek intryg i samowoli niektórych książąt śląskich i z powodu

napadu na Polskę wrogów z wszystkich stron, co było dziełem Krzyżaków, musiał się zrzec Śląska na rzecz Czech, z pod których dostał się potem pod panowanie średniowiecznego cesarstwa niemieckiego i austriackiego a następnie pod rządy tyrańskie Prus. Z drugiej strony jako jutrzienka nowego życia dla Polski i naszego kochanego Śląska jaśniej wyżej wymieniony Traktat Pokojowy, na mocy którego lud polski, prawdziwy dziedzic tej ziemi, jako człowiek wolny a nie „poddany pruski“ orzeknie o dalszej przynależności swego kraju.

Nieśmiertelny Jan Długosz, wielki historyk polski z XV wieku, kiedy Polska za króla Kazimierza Jagiellończyka odzyskała Gdańsk i Pomorze, które teraz dla Polski odbiera generał Haller, zapisał wtedy to wielkie a serdeczne życzenie: „Nie mało się cieszę, że wrócili do Polski pruskie ziemie, ale jeszcze więcej bym się radował i czuł się szczęśliwym, gdybym dożył tej chwili, gdy Śląsk, prastara piastowska dzielnica, powróci na łono Ojczyzny. Wtedy błogich doznałbym uczuć a miałbym miłszy i w grobie spoczynek“. Wielki Długosz nie dożył tej chwili, ale wielki jego Duch doczeka się jej teraz napewno i doczekają się jej także i te świetlane duchy, które pracowały nad odrodzeniem narodem Śląska, jak Lompa, ks. Szafranek, Stalmach, Miarka, Ligoń, ks. Damroth i wielu innych.

Znakomity historyk polski współczesny Wł. Smoleński (Władysław Grabieński), którego „Dzieje Narodu Polskiego“ prokuratoria pruska na Górnym Śląsku skonfiskowała w roku 1905, pisząc o klęsce Krzyżaków i Pokoju Toruńskim w roku

1466, mocą którego Pomorze wróciło napowrót do Polski, uczynił tę ważną a słuszną uwagę: „Złamanie Krzyżaków postawiło wtedy Polskę w rzędzie pierwszorzędných potęg europejskich“. Prawda ta powtarza się i dziś: Głównie z powodu pokonania Niemców, którzy byli głównymi sprawcami rozbioru Polski i butą i zachłannością swą zagrażali całemu światu, Polska nanowo odzyskała swą niepodległość i stała w rzędzie potężnych państw europejskich jako ochrona przed barbarzyństwem Wschodu — bolszewizmu, który jest nowem wcieleniem szalu niszczycielskiego dawnych hord tatarskich i mongolskich. Niemców, którzy patronują bolszewizmowi, pokonała Koalicja. Zwycięskie i bohaterskie jej wojska przychodzą teraz i do nas, ażeby przypilnować wykonania warunków pokojowych, które Niemcy podpisali, ale którychby napewno nie spełnili, gdyby ich siłą do tego nie zmuszono, gdyż oni uznają tylko siłę nad prawem. Łamanie umów przez Niemców, znane jest w historii aż nadto dobrze.

To też witamy wojska Ententy całym sercem: Witajcie, Oswobodziciele, Zwiastunowie Wolności i Obrońcy Sprawiedliwości.

Sosnowiec, 30 stycznia 1920.

## **Jak Górnoślązacy bronili Francuzów.**

Dnia 30 stycznia 1920 wkroczyły wojska Ententy na Górny Śląsk, by go obsadzić w celu przeprowadzenia plebiscytu, w myśl Traktatu Pokojowego. Polska ludność Śląska powitała wojska koalicyjne radośnie jako wybawców z wiekowej tyranji niemieckiej, a osobliwie pruskiej, bo, że

wojska i rządy pruskie na Górny Śląsk już nie wrócą, to pewne. Skoro już koniecznym był plebiscyt, przekonają się Niemcy i świat cały o woli ludu śląskiego. Polska może być o kraj ten spokojna, oczywiście nie wyklucza to potrzebnej jeszcze pracy plebiscytowej.

W chwili kiedy zwycięskie wojska Koalicji, a osobliwie większa ich część, bohaterskie i bratnie nam zastępy francuskie, obsadziły Śląsk, warto przypomnieć, jak to polscy Górnoślązacy bronili Francuzów przed krwiożerczymi zbirami pruskimi w czasie wielkiej wojny we Francji. Wiadomo, że Prusacy posyłali zazwyczaj polskie pułki na najniebezpieczniejsze pozycje pod Verdunem, nad Sommą, we Flandrii, gdzie ich setki tysięcy, porozdzielanych między Niemców, walczyć musiało wbrew swej woli przeciwko Francji. Ilu ich tam zginęło, a ilu Prusacy sami zamordowali za sprzyjanie Francuzom! Szczęśliwy był ten, który się dostał do niewoli francuskiej, a z niej do armji Halléra. Pokryjomu uczyli się języka francuskiego, ażeby się móżdż porozumiewać z cywilną ludnością francuską i z żołnierzami, gdy się chcieli dostać do niewoli.

Znam młodego Ślązaka, który zamiast pół doby, wytrzymał aż 6 dni na pewnej, daleko wysuniętej a bardzo niewygodnej placówce, bo w glinie i wodzie, ażeby tylko dostać się do niewoli. Wołał po francusku i dawał znaki, niestety, za każdym razem odpowiadano mu strzałami lub granatem ręcznym, bo były tam, jak potem wymiarował, wojska kolonialne, z którymi nie mógł się porozumieć. Mojego znajomego zaś po 6 dniach

wynieśli Niemcy wyczerpanego do cna i z febra malaryczną.

Górnoślązacy byli bardzo czuli na krzywdy, jakie Niemcy czynili cywilnej ludności francuskiej. Ostrzegali ją przed złodziejstwami Niemców, a gdzie mogli, bronili ją sami przed okrucieństwami, kradzieżami i wszelkimi gwałtami, narażając się przez to na kary więzienne, cielesne lub nawet śmierci. Szczególnie wrażliwi byli religijni Górnoślązacy na krzywdy, jakie wyrządzili Prusacy katolickiemu kościołowi i duchowieństwu we Francji. Przytoczę dalej kilka prawdziwych faktów, opowiedzianych mi przez polskich Górnoślązaków, którzy zmuszeni byli walczyć we Francji. Tu tylko jeszcze raz powtórzę, że Polska ludność z Górnego Śląska powitała wojska koalicyjne, a osobiście francuskie, całem sercem jako swych oswobodzicieli i wyrażam pewną nadzieję, że stosunki między tą ludnością a wojskami Ententy ułożą się jaknajlepiej.

## I.

Wracalem ze Lwowa do Sosnowca z delegacją górnośląską, która była tam na uroczystościach listopadowych oswobodzenia miasta, ażeby złożyć hołd im. polskiego Górnego Śląska bohaterskim obrońcom Lwowa. Delegaci wracali z podniosłemi wrażeniami, jakie zrobił na nich Lwów i jego mieszkańcy. Zapewniali mnie, jako kierownika tej wycieczki, że pobytu we Lwowie nigdy nie zapomną i wspomnienia tegoż będą im bodźcem do dalszych trudów dla Ojczyzny.

— A wy tam, Jasiu, co tak dumacie? — zwracam się do jednego z górników.



— O! proszę pana, przypominają się wojenne przejścia. Porównywał je z tem, com we Lwowie widział i przeżył. Przyjmowali nas tam serdecznie ks. arcybiskupi, poznaliśmy też niektórych zacnych ks. kapelanów wojskowych; wyobrażam sobie, że taki polski kapelan to musi być prawdziwy opiekun żołnierzy, a nie jak te przekłete szwabry.

— Może nie wszyscy tacy źli?

— Ee, mało tam tych wyjątków, ja tam na froncie widziałem prawdziwe pruskie okazy, wszystko jedno, pastor czy katolicki. Chce pan posłuchać, to opowiem.

— Posłuchamy chętnie wszyscy.

— Służyło nas — opowiadał — kilku Górnoślązaków w kompanji sanitarnej nr. 20, należącej do dywizji rezerwowej nr. 12 w Wrocławiu. Gdyśmy przybyli w roku 1914 na front francuski, zaboleł nas niezmiernie widok zniszczonych wsi, a osobiwie kościołów. Maszerowaliśmy za zbrojnymi oddziałami ku pamiętnej Marnie. Po drodze spotykaliśmy wracające grupy żołnierzy, prowadzonych jeńców i wiele ludności cywilnej, usuwanej na tyły. Patrząc, idzie grupka płaczących kobiet i dzieci, a z nią nieodstępny ich opiekun proboszcz staruszek, może 70-letni. Ledwie ruszał nogami, bo żołdak, który ich prowadził, wpakował mu na plecy swój ciężki tornister, naładowany „zdobyczą“, popędzał go kolbą i odmawiał niesienia plecaka kobietom, które się tego dopraszały, ażeby ulżyć biednemu staruszkowi.

— Jezusie, Maryjo, zawrzało we mnie na ten widok! Zwracam się do kapelana naszej kompanji, Albert się nazywał, by się ujął za tym księdzem

staruszkim i nie pozwolił na takie traktowanie swego brata w Chrystusie.

— Ee, quatschen Sie nicht, co to pana obchodzi, to jest wróg!

— Ale nie dla mnie, katolika — odpowiadam — i ja tego nie zniosę! Wstydź się ksiądz! Kapłan francuski napewno by nie pozwolił na takie urągawisko z księdzem niemieckim!

Pobiegłem w tył za grupką i wezwałem żołnierza do zdjęcia księdzu tornistra. Roześmiał mi się w twarz, ale też w tej chwili leżał już na ziemi, dostał tyle, że ledwie go tam potem pozbiali. Tymczasem moi kamraci, którzy widząc, co się święci, przybiegli za mną i zrzucili z księdza ciężki tornister. Tak on, jak i cała grupa, patrzyli na nas przestraszonym wzrokiem, nie wiedzieli w pierwszej chwili, co się dzieje. Poczciwy proboszcz kłania nam się niezgrabnie i z francuska dziękuje.

— Merci beaucoup, Herren Soldats!

— Nie trza „merci“, bo my Katołicy i Polacy.

Zrozumiał, twarz mu się rozjaśniła, podnosi ręce i wśród łez błogosławi nam, chwaląc po francusku Polskę i jej synów. My już też na kolanach przed nim i cała gromadka kobiet i dzieci uklekła. Wszyscy płakaliśmy i całowaliśmy ręce czcigodnego księdza staruszka. Ale wojna nie nabożeństwo, trzeba było wracać do kompanji. Jeden z kamratów udał eskortę i odprowadził gromadkę do pobliskiego lasu, każąc jej tam samej już ratować się ucieczką jak może, a sam wrócił potem do swego oddziału.

## II.

A później w roku 1915 — opowiadał dalej ten sam górnik — mieliśmy z naszym kapelanem Albertem między innemi także następujące zdarzenie:

Staliśmy pod Verdunem w miejscowości Villones, gdzie w kościele umieszczono lazaret polowy nr. 29. Mieliśmy tam kolegę K., który znał język francuski, więc w wolnej chwili zachodziliśmy do miejscowego księdza proboszcza, również zacnego staruszka, z którym wzajemnie bardzośmy się lubili. Przychodzimy raz do niego przed południem, a ten ci jakiś zasmucony, i oczy ma czerwone, widać, że płakał. Pytamy o powód, odpowiedział nam, że nasz ks. Albert sporniewierał jego przysługę konfraterską. Obaj odprawiali mszę świętą przy specjalnym ołtarzu w zakrystji, bo w kościele leżeli chorzy, a za wielkim ołtarzem, jak to u Niemców w zwyczaju było, urządzony był „pisoir“. Odprawił naprzód mszę ks. francuski, po nim przyszedł nasz kapelan. Na pozdrowienie staruszka ledwie odmruknął. Okazało się, że Albert niema już wina mszalnego, każe więc ordynansowi pobiec po nie do kwatery, zwymyślawszy go przytem w obecności Przenajświętszego Sakramentu ordynarnemi wojskowemi wyzwiskami. Proboszcz francuski pojąwszy o co chodzi, bierze swoje wino i proponuje kapelanowi tę przysługę, nie czekając zaś na odpowiedź, nalał wina do ampólek. A tamten na to:

— Nie potrzebuję pańskiej francuskiej gnojówki! Otruć się nie dam! — i w oczach proboszcza wylał wino na podłogę.

Zniewaga ta i podejrzenie o chęć otrucia swego konfratry ogromnie tego zacnego księdza staruszką zabolaly.

Później chciano wspomnianą zakrystję urządzić na pokój ordynacyiny dla lekarza. Ks. Albert, do którego się proboszcz zwrócił z prośbą o interwencję, by tego nie czyniono, ofiarowując na to inny lokal, oświadczył mu wręcz i grubiańsko, że tego nie uczyni, bo „służba sanitarna ważniejsza niż służba Boża“. Lekarz, podobny gbur jak Albert, kazał powyrzucać z zakrystji starożytne i stylowe szafy, które stały tam już od setek lat i trzebaby je było rozbierać, ażeby je móc wynieść, co niewątpliwie pociągnęłoby za sobą ich uszkodzenie a nawet zniszczenie. Przychodzi więc proboszcz do zakrystji, błaga i płacze, by szafy zostawiono.

— Herren, nicht kaput! — błagał łamaną niemieczyzną, składając ręce jak do modlitwy i patrząc błagalnym wzrokiem na lekarza i na nas.

Nie pomogło, lekarz odsuwa staruszka na bok i każe nam się brać do roboty. A na to ja odpowiadam lekarzowi mocno i bez ogródek, że my tego robić nie będziemy, bo byłoby to niszczenie historycznych zabytków, a te przecież nawet cesarz kazał chronić. Oświadczyłem nadto, że nie tylko my sami tych szaf nie wyniesiemy, ale i innym ruszyć ich nie damy! — Prawda, chłopcy? — zwróciłem się do pięciu moich kamratów, którzy koło mnie stali.

— Tak jest, tylko po naszych trupach katolickich będziecie mogli przystąpić do zniszczenia tych szaf — odpowiedzieli wszyscy.

I lekarz widząc naszą stanowczą postawę, ustąpił, zwłaszcza gdy mu na boku ksiądz Albert coś powiedział. Słyszałem tylko wyraz „Fanatiker!”

Nad wyraz nieszczęśliwą była ta piękna miejscowość Villones — ciągnął dalej nasz opowiadacz. — Byliśmy tam świadkami okropnej rzeczy, którą właściwie zastaliśmy już, gdyśmy tam przybyli. Na cmentarzu koło kościoła urządzili Niemcy kopane wychodki. Kopano na ten cel doły, wyrzucając z nich szczątki dawniejszych lub świeżych nieboszczyków. I nie zważano na to, by choć całego trupa wykopać. Jak wypadło, czy przez brzuch, czy przez głowę, cięto rydlami i wyrzucano szczątki. Mieszkańcy wsi zdala się przypatrywali i płakali, boć to ich najdroższych tak bezczeszczono. I tak przekopano cały cmentarz, gdyż pełne doły, ze względów zdrowotnych, zasypywano a kopano nowe. Świeższe trupy, które wykopano, przechowano tymczasem w kupie ziemi i z powrotem je potem do dołów „wypełnionych” wrzucano.

Włosy nam, Słazakom, na głowie stanęły, gdyśmy to zobaczyli. Przysiękliśmy sobie święcie ani razu z tych „wychodków” nie korzystać. Jezus, Maryjo, toż umrzeć nie mógłbym spokojnie na myśl, żem tak to święte miejsce zbezcześcił!

I lzy stanęły mu w oczach na wspomnienie tych okropności. A za chwilę z głębokiem przejęciem dodał: „I nie zapomnę nigdy jednego widoku z tego cmentarza, naprawdę do głębi wzruszającego. Między zbezczeszczonymi grobami była też mogiła niejakej pani Picard. Córką jej, zupełna sierota, bardzo ładna dziewczyna, zanosila



przedtem codziennie kwiaty na grób matki. Po-tem trupa wykopano, została w ziemi głowa. I ta biedna dziewczyna mimo wszystko przez cały czas przychodziła ze swoimi kwiatami. Wypatry-wała stosowną chwilę, kiedy żadnego żołnierza nie było na cmentarzu, wchodziła prędko, skła-dała kwiaty u głowy drogiej matki, odmawiała krótką modlitwę — i znowu szybko oddalała się. Czyniła to nawet wtedy, gdy dół z odchodami w miejscu grobu jej matki był jeszcze nie zako-pany. A kiedy jej nawet proboszcz radził, by się nie narażała na możliwe zaczepki, odpowiedziała skromnie i z jakąś nadziemską słodyczą, że musi to czynić, aby temi kwiatami najdroższej matce choć na chwilę oczyścić powietrze! Biedna panna Picard zginęła później od granatu, który ją trafił właśnie w drodze na cmentarz z kwiatami na grób matki.

W Villones, skąd Niemcy wywieźli wszyst-kich mężczyzn od 16 do 60 lat, przechodzili pozo-stali mieszkańcy, przeważnie kobiety i dzieci, bar-dzo ciężkie czasy. Nakładano na nich ciągłe kary, których jednak nie płacili, tylko je odsiadawali. Jak mogliśmy, tak staraliśmy się pomóc tym zac-nym ludziom, którzy też zrozumieli nasze sym-patie polskie i umieli je cenić. Nieraz też, gdy do-wóz wojskowy dla nas wskutek walk był utrud-niony i każdy zdany był na zdobycie sobie przez zakupno sam w okolicy u włościanek żywności, to choć dla Niemców zapasy, skromne zresztą, były tak ukryte, żeby ich i diabeł nie był znalazł, to nam, Polakom, chętnie i życzliwie sprzedano produktów wiejskich, a nieraz i bezpłatnie nas ugoszczono jako przyjacielskich Polaków.

— A coż się stało z ks. Albertem?

— Przypuszczam, że zmarniał gdzie na „*délirium tremens*“, bo od rana do nocy zapijał się kradzionem w okolicy winem. Nie miał czasu nawet na chowanie trupów, bo na ochotnika zgłosił się do „rekwizycji“ wina, które wypijał potem z oficerami, lub wysyłał do Niemiec na pasek.

### III.

— Podobną historję mogę i ja wam opowiedzieć — zaczął inny robotnik górnośląski, gdy tamten skończył. Było to w miejscowości Esteres (o ile się nie mylę) we Flandrii, w pobliżu słynnej góry Kemmel. Oddział nasz, w którym było nas z jakie 15 Górnoślązaków, przyszedł do miasteczka po innym, czysto pruskim. Zazwyczaj, gdyśmy naprzód szli, uprzedzaliśmy ludność przed kradzieżami Niemców, a proboszczom radziliśmy, by chowali przybory i szaty kościelne, gdyż Prusacy bez litości i skrupułów okradają kościoły.

Przychodzimy pod kościół, gdzie urządzono postój, a tu widzimy, jak trzech żołnierzy wychodzi z kościoła, ubranych w albę i ornaty i udaje błaznów cyrkowych. Zakipiało w nas, Ślązakach! Jak nie skoczymy do pludraków i nie zaczniemy bić kolbami, to aż kości trzeszczały. Kazaliśmy im szaty zdjąć i odnieść do kościoła. Wchodzimy, a tu jeszcze większa obraza Boska! Kilkudziesięciu żołnierzy okradało ołtarze, zakrystję i bezczęściło świątynię. Jeden ci w kropielnicę załatwiał potrzebę naturalną, dostał też tyle, że go na rękach wynieśli. Jakieś bydlę ryczy: „popatrzcie, to są obrońcy tego zakładu ogłupiania i warjatorów“, ale ledwo to wyrzekł, trzasnął go któryś

z naszych w ten bluźnierczy pruski pysk, że ciapnął jak ogłuszona kura.

Biegniemy do głównego ołtarza, bo tam z tabernaculum wyciągają świętości. Patrzę kto — pastor pułkowy sięga po kielich z komunikantami i małą monstrancję z Przenajświętszym.

— Luter! — wołam — nie rusz tego, bo to nie dla twoich łap!

Nic sobie z tego nie robi, wyciąga dalej, więc ci ja chusteczką owijam dłoń i wyrywam mu świętą monstrancję, a lewą ręką pchnąłem go siłnie w pierś, że spadł ze stopni ołtarza... A tam, w nawach, moi kamraci robili porządek z tą bandą, jak nieprzyimierzając Pan Jezus w bóżnicy. Prali, co się zmieściło, aż tych buksów wypędzili z kościoła. Zjawia się kapelan katolicki (nazwisko wyszło mi z pamięci, ale gdyby trzeba, mógłbym się dowiedzieć) i jeden oficer, który wzywa do porządku.

— Tu, księżę kapelanie — mówię do niego — oddaję w ręce księdza katolickiego tę świętość, którą oto ten złodziej chciał ukraść! — i wskazuję na pastora, który nie mógł jeszcze jakoś zebrać swych kości.

— Nie róbcie „Radau“, — odrzekł — niepotrzebne to wszystko, po co to?

— Po co?! — krzyknąłem — a to trzeba było pilnować, by te łotry nie bezczęściły i nie okradały kościoła świętego! My, katolicy polscy, na takie rzeczy patrzeć nie możemy! Pan Bóg pokarze was bardzo za te wasze bezceństwa i świętokradztwa!

— No dość już, dość! Ja to tu uporządkuję, a wy już idźcie!

Włec wychodziliśmy. Ale mnie coś tknęło, więc mówię: „chłopcy, zaczekajcie przed kościołem, jo tu dom pozór na tych pieronów, bo mi się ta rzecz coś nie czysto widzi“. I pod chórem schowałem się pod ławkę i przypatruję się. Istotnie, kapelan schował świętości do ołtarza i poszedł z oficerem i pastorem do zakrystji. Coś tam długo siedzieli, jakieś szafy odbijali, potem jakieś brzęki, trzaskania i żywą rozmowę słyszę. Myślę se: „Co to jest?“ Muszę ja to spenetrować! Idę więc po cichutku ku zakrystji i patrzę z boku z ukrycia.

Jezus Maryjo! O mało mnie krew nie zalała! Wyobraźcie sobie: ksiądz katolicki z pastorem i oficerem łamali piękną, dużą i bogatą monstrancję, wydłubywali z niej drogie kamienie i dzielili się tem. Matko Bosko, jakim to zobaczył, ogarnął mną jakiś święty gniew! Jak nie wpadnę do zakrystji i nie zacznę grzmocić, to naprawdę sam dziś nie wiem, skąd mi się tej siły tyle wzięło! Oficer wyciąga rewolwer, a ja go na odlew kolbą w łeb, że zwinął się pod szafę jak gad. Pastor mi uciekł, zabieram się do kapelana, ale mnie coś nagle zatrzymało. „Nie, myślę se, ciebie bić nie będę, boś ksiądz katolicki, niech cię osądzi twa władza kościelna, sąd wojskowy i Pan Bóg.

Kazałem mu więc pozbierać odłamki monstrancji, związać do kawałka bielizny kościelnej i pójść zemną do komendy pod karabinem. Kilku naszych zostało na straży koło kościoła, by dzicz pruska jeszcze raz nie próbowała szczęścia, a reszta poszła zemną jako świadkowie. Spisano protokół; skutek był ten, że księdza i pastora usunięto od nas, oficera wywieźli do szpitala w Niemczech,

gdzie niezawodnie udawał, że ranę otrzymał w ataku na nieprzyjaciela! Do procesu nie przyszło, widać umorzono sprawę dla ratowania „honoru oficerskiego“. Nas jednak za karę przenieśli także do ciężkich robót przy budowaniu słynnej „Hindenburgstellung“ nad Sommą.

\*       \*

Dowodem, że niemieccy kapelani wojskowi, tak niektórzy pastorowie jak i niektórzy katolicy, kradli we Francji — dodał inny górnik — jest także fakt, że gdyśmy po zupełnej klęsce Niemców wracali pieszo z Francji do Niemiec, znaleźliśmy na Mozie i innych rzekach i kanałach, na statkach towarowych, przeznaczonych do Niemiec, bardzo wiele przesylek, nadanych przez kapelanów wojskowych obydwu wyznań, a zawierających wino, szaty kościelne, złote, srebrne i platynowe naczynia kościelne, a nawet odzież i bieliznę cywilną! Wszystko to adresowane było do rodzin odnosnych księży.

I kiedy po „Zusammenbruchu“ niemieckim, przy dzikim odwrocie do Niemiec, żołnierze niemieccy niszczyli jeszcze drogi, mosty i koleje, palili wsie i uprowadzali bydło i trzodę, to my Polacy, gdzieśmy mogli, tośmy przeszkadzali temu niszczyielskiemu dziełu lub też pomagaliśmy ludności francuskiej i belgijskiej kryć jej mienie. Bywało, żeśmy z rabusiami staczali formalne bitwy, ażeby im odebrać skradzione rzeczy i oddać je ludności. Cośmy mogli, tośmy robili, by ratować gnębiony a tak srodze dotknięty przez wojnę naród francuski, czując i wiedząc, że on nam bliższy, niż Niemcy“.



Tak mi opowiadali górnośląscy robotnicy polscy, powstańcy, którzy jako przymusowi żołnierze niemieccy, walczyć musieli przeciwko Francji.  
Sosnowiec, dnia 31 stycznia 1920.

## Dwaj okupanci.

(Na tle prawdziwego zdarzenia).

Przy rozmieszczaniu dowództwa okupacyjnych wojsk koalicyjnych w Opolu zdarzył się następujący wypadek: Do pewnej starszej Niemki, wdowy po wyższym urzędniku administracyjnym, właścicielki willi, zgłosił się oficer francuski i poprosił ją o wynajęcie mu 3 pokoi, jednego dla siebie, drugiego na swoje biuro wojskowe, trzeciego zaś, podrzędniejszego, dla ordynansa. Niemka odpowiedziała, że nie może mu wynająć, bo liczna u niej rodzina itp., ażeby tylko wykręcić się od odstąpienia mieszkania „Erbfeindowi“. Na to Francuz oznajmił jej uprzejmie, że w takim razie zmuszony jest te 3 pokoje zarekwirować, gdyż wie dokładnie, że właścicielka zajmuje 8 pokoi, a licznej rodziny u niej niema. Niemka zaczyna „herrgottować“, że to niesprawiedliwość, krzywda itd. Na to oficer wyciąga z portfela fotografię, pokazuje ją Niemce i pyta:

— Czy zna pani tego pana?

— Ach je, toż to mój syn, skąd pan ma tę fotografię?

— Więc to napewno pani syn?

— Naturalnie, mój rodzony syn, w mundurze niemieckiego oficera.

— Czy był syn pani w r. 1914—1915 w Lille?

— Tak, tak, był tam, bom do niego pisywała.

— A gdzie syn pani teraz przebywa?

— W Berlinie, w swym pułku.

— Szkoda... a czy i ten list pisała pani do syna? — i pokazał jej zmięty, pobrudzony i podklejony, podarty kiedyś list z czerwonym zakreśleniem w pewnym miejscu.

— Naturalnie, że mój list, ale skąd pan i do tego listu przyszedł?

— Zaraz pani opowiem, ale naprzód jeszcze niech pani przeczyta to zakreślone zdanie.

Niemka przeczytała po cichu odnośny ustęp, potem spojrzała na Francuza niepewnym wzrokiem i zapytała:

— Dlaczego pan ten ustęp podkreślił?

— Dlatego, że tam właśnie przypomina pani synowi pożegnalne słowa: „Walcz mężnie z wrogiem, ale nie krzywdź kobiet i dzieci!“ — Otóż niech się pani dowie, że syn pani wcale mężnie nie walczył, bo siedział w etapie, ale za to skrzywdził bardzo wiele kobiet i dzieci, między nimi i moją matkę i moją siostrę.

— Mój syn? To niemożliwe, to nieprawda!

— Pojmuję, że to dla pani, jako matki, jest przykre, ale tak jest rzeczywiście, jak mówię. Czy zna pani język francuski?

— Nie biegle, ale rozumiem.

— Otóż tu jest pamiętnik mojej matki z czasów okupacji niemieckiej w Lille, a moja matka nie kłamała — i wyciągnął z pod munduru zeszyt, oprawiony w czarną okładkę i związany wstążką o narodowych barwach francuskich. Widzi pani — mówił dalej — noszę go na sercu jako najdroższą pamiątkę po mej ukochanej matce, którą syn pani przedwcześnie do grobu zapędził, bo umarła

wskutek choroby sercowej, jakiej się nabawiła z powodu krzywdy, doznanej ze strony syna pani. Ale zanim przeczytam pani odnośne ustępy z pamiętnika, pozwoli pani, że jej przedstawię krótko naszą rodzinę. Rodzice moi wraz ze mną i siostrą moją mieszkali przed wojną w Lille, gdzie na końcu miasta posiadali skromny domeczek z ogródkiem. W roku 1914 poszliśmy obaj z ojcem na wojnę. Po zajęciu miasta naszego przez Niemców, zajmowali oni przemocą domy na kwatery, wyrzucając z nich mieszkańców. Właśnie do matki mojej przybył syn pani z żołnierzami i mimo próśb i błagań jej i mej siostrzyczki 14-letniej, syn pani okazał się brutalnym barbarzyńcą, bo wyrzucił matkę i siostrę z całego domu (4 pokoje), a sam zajął go tylko dla siebie, gdzie się potem odbywały istne orgie. Matka z siostrą musiały szukać przytułku u sąsiadów, z którymi gnieść się musiała razem w jednym pokoju, bo resztę zajęli Niemcy, ale przecież tamci byli na tyle względni, że pozostawili im bodaj ten jeden pokój.

Ciągła obawa, by syn pani domu naszego nie spalił, bo i to wasi czynili, jak też i nieustanny strach przed barbarzyństwami Niemców, spowodował chorobę sercową. Co się ta biedna moja matka napłakała, powie pani ten pamiętnik, jeśli go pani zechce przeczytać. Kiedy syn pani dom nasz opuścił, zostawił tylko gołe ściany i zapaskudzone pokoje. Wszystkie meble i sprzęty zabrał ze sobą, lub też ordynans jego sprzedał. Może i pani przysłał jaką „pamiętkę?”

— Mój panie, co pan sobie o mnie myśli?

— Niestety, było to u oficerów waszych w zwyczaj u i gdyby tak dobrze poszukać u ich

rodzin, to sędzę, że znalazłaby się niejedna własność francuska.

— Więc przyszedł pan szukać swej własności! — syknęła Niemka.

— Nie pani, nie będę szedł śladem syna pani, ale mam nadzieję, że po tem, co pani tu usłyszała, sama pani pokaże mi „zdobyczą“ swego syna, jeśli jaką do domu przysłał, a ja rozpoznam, czy to własność mych rodziców czy nie. W każdym razie twierdzę, że syn pani okradł nasze mieszkanie.

— To nieprawda, syn mój złodziejem nie jest!

— Nie tylko złodziejem, ale i czemś gorszym. O, niech pani popatrzy tu na te zakreślane miejsca w pamiętniku. Właśnie zapisała matka, że syn pan! chciał zgwałcić mą siostrę, kiedy przez płot sąsiadów weszła do naszego ogródka, ażeby narwać kwiatków dla mateczki. Zauważył ją syn pani przez okno, pobiegł do ogrodu i tam, gdyby nie jej krzyk przeraźliwy, który ściągnął ludzi, byłaby się stała ofiarą jego zwierzęcości. Ale poszukam ja go za te wszystkie krzywdy i odnajdę choćby w Berlinie!

— Mein Gott, mein Gott! — jęczała Niemka — czyż to możliwe, żeby syn mój tak... ale skądże pewność, że to mój syn?

— Fotografia i list. Dał się fotografować w Lille u miejscowego fotografa i wywiesił swój konterfekt na wystawie; matka więc dała zrobić fotografię na pamiątkę, ażeby go przedstawić kiedyś ojcu lub mnie, bo wiedziała, że przyjdzie czas i na sprawiedliwość! A list? Znalezione go podarty w śmieciach, pozostawionych w domu, tak sobie syn pani cenił jej macierzyńskie upomnienia! Ojciec mój zginął na wojnie, matki nie zastałem

już wśród żyjących, siostra opowiedziała mi wszystko i wręczyła mi pamiętnik matki, tę fotografię i ten list, z którego dowiedziałem się adresu pani. Kiedy formowano wojska okupacyjne dla Górnego Śląska, zgłosiłem się do nich na ochotnika, ażeby odszukać syna pani i panią.

— Przybył pan, by się zemścić?

— Tak przybyłem i po to, by się z synem pani porachować. Niema go tu, ale to nic nie szkodzi, na wszystko jest czas, odszukam go kiedyś i w Berlinie! Pani zaś, niech się nie boi mojej zemsty, ja pani z domu nie wyrzucę, wystarczą mi najzupełniej te 3 pokoje. Może pani być pewna, że nic pani z mieszkania nie zginie, za to ja pani ręcę słowem oficerskiem, ale francuskim! I jeszcze jedno, moja pani: odszukałem panią i opowiedziałem jej o synu także dlatego, że zauważyłem w dzisiejszych dziennikach niemieckich podpis pani pod odezwą „Związku niemieckich kobiet“ do matek, żon i dziewcząt, by strzegły „cnoty kobiety niemieckiej“ przed wojskami okupacyjnymi. Otóż jest to zupełnie zbytecznie, bo my nie pójdziemy za przykładem waszych wojsk we Francji — i spodziewam się także, że po tem, co tu pani usłyszała o swym synie, uczuje i zrozumie pani sama, że pani nie miała prawa do podpisywania tej odezwy.

Sosnowiec, w lutym 1920.

### Ciekawe spotkanie.

Jedno z niemieckich pism górnośląskich (Der Oberschlesische Kurier) podało dnia 4 lutego następującą wiadomość: „Krótco przed opuszczeniem Katowic, przyjął dotychczasowy niemiecki



komendant powiatowy major Schloski wizytę następcy swego, francuskiego pułkownika Blancharda. W trakcie rozmowy okazało się, że pułkownik Blanchard pochodzi z Sedanu, a major Schloski w czasie wojny stał w tem mieście kwaterą. Więcej nawet, major Schloski mieszkał w czasie swego pobytu w Sedanie u zacnego starego profesora Blancharda, który chorował i niedługo umarł. Skończył on — chwalił się widocznie sam major Schloski — na rękach majora Sch., który także postarał się o jego pogrzeb. Tento ś. p. prof. Blanchard był właśnie ojcem obecnego komendanta Katowic.

Na to dnia 7 lutego zamieściło to samo pismo w tym samem miejscu następujący artykuł (w dosłownem tłumaczeniu): „Na rozkaz wojskowy podajemy co następuje: w nr. z dnia 4 bm. ogłosiliśmy notatkę, która dotyczyła pułk. Blancharda i majora Schloskiego. Otóż odnośna wiadomość w naszym piśmie jest od początku do końca nieprawdziwą.

Ś. p. Blanchard nie był profesorem, tylko przemysłowcem w Sedanie. W czasie kiedy syn jego walczył w armji francuskiej, zmarł ojciec dnia 19 lipca 1917 r. i to w otoczeniu swych krewnych i przyjaciół w Sedanie. Samo przez się rozumie się, że żaden oficer niemiecki nie był przy tem obecny. Major Schloski zamieszkiwał wtedy sąsiedni dom i nawet na pogrzebie nie był. Rodzina ś. p. Bl. nie byłaby zresztą na to pozwoliła. Sprostowanie to posłano też p. maj. Schloskiemu.

Pułk. Blanchard dodaje od siebie następujące wyjaśnienie: Wojska niemieckie, które zajęły Sedan, zabrały z domu jego ojca 28 foteli, całe urządzenie kuchenne, zegary, świeczniki, piece, lampy,

wszelką bieliznę odzieżową i stołową oraz wiele dzieł sztuki.

Dnia 10, 11 i 12 listopada 1916 zostało w Sedanie wiele domów i mieszkań, w tem także dom ojca pułk. przez wojska niemieckie kompletnie zrabowanych i zniszczonych. Żołnierze wyłamali drzwi, rozbili szafy i skradli wszystko, co się dało, a resztę zniszczyli.

Pan pułkownik Blanchard upoważnił nas dodać, że ś. p. ojciec jego, były kapitan gwardji ardeńskiej, odznaczony orderem legji honorowej z r. 1870—71, wolałby był raczej sto razy i przeż wszystkich opuszczony, umrzeć, niż dopuścić do swego łoża śmierci oficera niemieckiego, choćby nim był nawet szanowny major Schloski!"

Można sobie wyobrazić, z jakim uczuciem gazeta niemiecka zamieszczała „na rozkaz“ to sprostowanie i wyjaśnienie. Będzie takich kwiatków niezawodnie więcej. Górnośląskie pisma polskie zaopatrzyły tę ciekawą historję radą: „Michel, nie wywołuj wilka z lasu!"

Sosnowiec, w lutym 1920.

## **Zmartwychwstanie.**

(List do Ignacego Sikory, przyjaciela mego i działacza narodowego w Gliwicach).

Kochany Przyjacielu! Kiedy rozważam doniosłość pierwszych wolnych świąt Zmartwychwstania Pańskiego na Górnym Śląsku, oswobodzonego z pod rządów pruskich, przypominają mi się te piękne wspólne chwile w życiu naszym w roku 1903—1904, kiedyśmy to w kółkach wychowa-

nia narodowego kształcili się w ukochanym języku polskim, poznawali dobre i nieszczęśliwe dzieje naszej drogiej Ojczyzny i zaznajamiali i rozkoszowali się bogatymi skarbami naszej literatury narodowej.

Była to dla Górnego Śląska owa prawdziwa wiosna odrodzenia narodowego, kiedy duch prawdziwie polski i myśl państwowo-twórcza zaczęła kielkować w duszach Ślązaków. W roku 1903 pod wpływem pierwotnego „Górnoślązaka“, założonego i wydawanego od roku 1902 przez Korfantego i Kowalczyka w Katowicach, rozpoczął się nowy ruch polityczny, czysto narodowy, który się objawił najwyraźniej w pierwszych, w czerwcu 1903, wyborach posłów do Koła Polskiego w Berlinie. Skończyły się one zwycięstwem okręgu katowicko-zaborskiego. Wyszedł Wojciech Korfanty, pierwszy polski poseł Górnego Śląska, uważający się nie za Ślązaka mówiącego po polsku, ale za Polaka, pochodzącego ze Śląska. Czcigodny bowiem śp. ks. Szafranek, pierwszy poseł śląski do niemieckiego Zgromadzenia Narodowego w r. 1848, aczkolwiek dzielnie bronił praw ludu śląskiego, to brak mu jednak było jeszcze, co jest zresztą zrozumiałe, należytego polskiego uświadczenia politycznego, do którego przyczyniły się dopiero później, powiedzmy to sobie otwarcie, germanizatorskie sposoby Bismarka i jego uczniów.

Po Korfantom, którego ponowny wybór, po unieważnieniu pierwszego, był jeszcze świetniejszy i obudził w Ślązakach odwagę polską, wyszli w następnych wyborach zwycięsko inni posłowie polscy z Górnego Śląska. Ruch polityczny polski przechrodził potem na Górnym Śląsku znane dzieje

aż przyszła wielka wojna, potem upadek Rosji, Austrii i Niemiec, przez co stała się aktualną i sprawa powstania nowej Polski i rozstrzygnięcia także dalszych losów naszego kochanego Śląska.

Prócz tego ruchu politycznego, objawił się wtedy na Górnym Śląsku ruch drugi, więcej duchowy, odrodzeniowy, (abstynencki i samokształceniowy), który wychował szereg zdolnych jednostek z ludu śląskiego na działaczy narodowych. Twórcami tego ruchu byli prof. Wincenty Lutosławski i redaktor Joachim Sołtys, założyciele i redaktorzy „Iskry“ gliwickiej, która roznieciła na Górnym Śląsku ogniska i jasne światło ducha narodowego. A choć potem wskutek prześladowań pruskich i różnych innych przyczyn, „Iskra“ przestała wychodzić, to jednak jej zarzewie pozostało dotąd w duszach jej zwolenników ówczesnych i późniejszych uczestników tego ruchu. Pogłębił on w nich ducha narodowego przez możliwie gruntowne poznanie historii Polski, a przede wszystkim utworów naszych wieszczów, którzy wierzyli w Zmartwychwstanie Polski i innym też tę wiarę przez swe pisma głębokie i podniosłe potrafili zaszczerpić, jeśli tylko ze strony czytających była dobra wola.

„O, gdybym dożył tej pociechy, by księgi moje zbłądziły pod strzechy“, — marzył Mickiewicz — i naprawdę, o ile znam lud polski w różnych okolicach naszej Ojczyzny i prowadzony wśród niego ruch oświatowy, to nie spotkałem nigdzie takiego przejęcia się dziełami naszych wieszczów, jak właśnie wtedy u robotników górnośląskich. Przypisuję to tej głębokiej religijności, jaka cechuje lud śląski i tej tęsknocie romantycznej, jaka

się objawia u naszego ludu za słowem polskiem, za pieśnią polską, za wiedzą, za lepszym życiem duchowem, co wszystko razem składa się na gorącą miłość Ojczyzny, wyrabia świadomość obywatelską i stwarza silną wolę ideowej pracy narodowej. Uważam, iż bez znajomości pism naszych wieszczów wychowanie prawdziwego Polaka, nie może być całkowite. Naturalnie nie wynika z tego, by sama znajomość wieszczów wytworzyła pełnego Polaka, zaznajomienie się jednak z utworami Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, daje impuls do poznania całokształtu życia polskiego i w tem leży, zdaniem mojem, wielkie wychowawcze znaczenie naszej literatury narodowej.

Takie też znaczenie miała w naszym ruchu odrodzeniowym wstrzeźliwość i samokształcenie się w duchu narodowym. Poznał się widocznie na usiłowaniach tego ruchu sławny prześladowca Polaków Mädler, ówczesny specjalny komisarz policyjny do spraw polskich na Górnym Śląsku, a obecnie główna sprężyna „Freie Vereinigung zum Schutze Oberschlesiens“ we Wrocławiu, najważniejszej niemieckiej organizacji plebiscytowej dla Górnego Śląska. Widział w tym ruchu niebezpieczeństwo dla „Vaterlandu“ i zwolenników jego w Gliwicach i Zabrze oskarżył w roku 1904 i 1905 o należenie do tajnych związków o celach niebezpiecznych dla państwa niemieckiego, bo odbudowania państwa polskiego, które, jak to w oskarżeniu prokuratora zaznaczono, nie może powstać inaczej, jak tylko ze szkodą dla Niemiec. T. zw. „abstynenckie procesy gliwickie“ w roku 1905, w których prokurator pruski udowydniał oskarżonym „polityczną zbrodnię przeciwko państwu nie-



mieckiemu, a sąd pruski gliwicki zasądził prawie wszystkich na kary więzienne, — stanowią także ważną datę w dziejach Górnego Śląska. W podobnych poprzednich procesach o tajne samouctwo młodzieży polskiej w Gnieźnie i Toruniu, chodziło o młodzież akademicką i gimnazjalną, tu zaś o robotników polskich i ich młodzież obojga płci. Procesami tymi i odbyciem „kary“ za te „przestępstwa“ — Ślązacy najlepiej już wtedy stwierdzili, że są Polakami i do Polski chcą należeć. I aczkolwiek ruch ten potem osłabł i niektórzy jego członkowie się „połamali“, to jednak wspomnienia tych pięknych chwil wspólnej pracy i marzeń budzą niewątpliwie u wszystkich podniosłe myśli i serdeczną tęsknotę za tymi czasami i za szczerymi współbraćmi tego ruchu.

\*

\*

\*

I wyrazem też tej serdecznej tęsknoty duchowej jest list niniejszy do Ciebie, Kochany Przyjacielu. Po dość długich latach przymusowej rozłąki z kochanym naszym Górnym Śląskiem, powróciłem tu, by z Tobą i wielu innymi dawnymi przyjaciółmi i towarzyszami pracować nad zdobyciem naszej Piastowskiej krainy dla Polski, a potem pod wspólnym z nią dachem, współdziałać z Rządem Polskim i społeczeństwem naszym nad narodowym uświadomieniem obojętnych jeszcze grup i jednostek i nad kulturalnem i gospodarczem ich podniesieniem, korzystając przy tem z wiedzy, zdobytej w Polsce i zagranicą oraz z doświadczeń praktycznych pracy oświatowej i społecznej w innych dzielnicach naszej Ojczyzny. Pragnę służyć ludowi śląskiemu, z którego pochodzę, i do które-

go wrócić zawsze szczerze pragnąłem. Kiedy po 13 latach rozłąki przymusowej, po ustąpieniu stąd wojsk pruskich, wstąpiłem na ziemię górnośląską, to ucałowałem ją jako świętość, zwłaszcza, że było to w miejscu, gdzie w zeszłym roku lała się bohaterska krew naszych powstańców i przesiąknęła tę od wieków gnębioną Staropolską.

\* \* \*

Mój Kochany! Zmartwychwstanie Polski, powstanie polskie zbrojne na Górnym Śląsku, uwolnienie tego kraju z wojsk niemieckich i pewna nadzieja niedalekiego połączenia go z Polską przez plebiscyt — to wszystko są rzeczy, które w r. 1904 zdawały nam się tak odległymi i tak prosto niemożliwymi, a teraz stały się i stają się dalej rzeczywistością!

Czy przypominasz sobie następującą chwilę naszej współpracy ideowej? Było to w lecie 1904 roku; po wspólnem czytaniu wieczornem tam w Twoim pokoiku „Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego“ Adama Mickiewicza, wybraliśmy się w czterech: Ty, Hieronim Paprotny, nieboszczyk Paweł Dudek i ja na przechadzkę na pola Szobiszowickie. Była piękna i ciepła noc gwiazdzista, długośmy chodzili i rozmawiali o przyszłości Polski. Pod wpływem „Ksiąg Mickiewicza“, wierzyliśmy wszyscy, że ta Polska będzie napewno, aleśmy sobie nie mogli wyobrazić wśród jakich warunków ona powstanie i uwolni się od swych zaborców. A wtedy, jak dziś pamiętam, śp. Paweł powtórzył uroczyście prośbę z „Litanii Pielgrzymskiej“ Mickiewicza: „O wojnę powszechną za wolność ludów — prosimy Cię Panie!“ —

Zrobiło to na nas głębokie wrażenie i zrozumie-  
liśmy, że tylko wielka, powszechna wojna, która  
utrąci stary porządek świata, umożliwi Polsce  
Zmartwychwstanie, albowiem Cud Zmartwych-  
wstania rodzi się tylko z wielkiej ofiary krwi i ży-  
cia, tak jak to stało się u Zbawiciela Ludzkości.

Zmartwychwstanie Jego stało się fundamen-  
tem Nowej Wiary, Zmartwychwstanie naszej Oj-  
czyzny staje się podwaliną nowego życia polskie-  
go i nowego porządku w Europie.

Pomyśl tylko, wszyscy trzej zaborcy Polski  
zostali w tej wojnie pokonani, a zbrodnia doko-  
nana na Polsce, zwłaszcza przez Rosję i Niemcy,  
okropnie się teraz mści na tych państwach i na-  
rodach przez anarchję bolszewicką. Straszna to  
kara Boża i dziejów!

I dziś, kiedy wspomnienia tych wspólnych  
naszych marzeń rozpamiętywam, to żałuję tylko,  
iż śp. Pawła Dudka nie ma między nami. Poległ,  
biedak, na froncie francuskim, niedoczekawszy się  
szczęśliwej dla Polski i dla Śląska chwili. Śmierć  
jego wydaje mi się jakby potwierdzeniem tego  
wskazania wtedy przez niego na wojnę powszech-  
ną jako środka Zmartwychwstania Polski. I przy-  
chodzą mi na myśl dalsze prośby z tej Mickiewi-  
czowskiej litanji pielgrzymskiej, mianowicie:  
„O śmierć szczęśliwą na polu bitwy — o grób dla  
kości naszych w ziemi naszej — prosimy Cię  
Panie!”

Niewątpliwie śp. Paweł miał na polach Francji  
na ustach nieraz tę modlitwę, gdyż znał ją dobrze.  
Nie wiem, jaka była jego śmierć, ale jestem pe-  
wny, że jeśli jeszcze miał świadomość, to umierał  
na pewno z myślą o Ojczyźnie, bo był to gorący

Polak. Sądzę natomiast, że, o ileby to było w naszej mocy, powinniśmy się postarać o to, by szczątki jego spoczęły w ziemi ojczyściej, w Gliwicach, gdzie żył i pracował dla Polski.

\*

\*

\*

Obchodzimy dziś na Górnym Śląsku pierwszą wolną Wielkanoc, jest ona jednak jeszcze jakby tą otchłanią, do której zstąpił Chrystus po swej śmierci na Krzyżu, zanim przez Zmartwychwstanie niedokonało się Jego dzieło Zbawienia i Pojednania ludzkości z Bogiem. I Śląsk przez okupację wojsk koalicyjnych zdjęto już z Krzyża, błądzimy teraz w otchłani, ale przez Zmartwychwstanie-Plebiscyt dokonamy zjednoczenia Śląska z Polską dla wspólnego szczęścia. Tak nam dopomóż Bóg!

Bytom, w Wielkanoc 1920.

